Mark Fisher, *Wszystko, co stałe, rozpływa się PR-ze: stalinizm rynkowy i biurokratyczna antyprodukcja*, w: *Realizm kapitalistyczny*, Książka i Prasa 2020.

[…] Początkowo sam fakt, że biurokratyzacja uległa intensyfikacji pod rządami neoliberalnymi, które uchodzą za antybiurokratyczne i antystalinowskie, może wydawać się nieco zagadkowy. Nowe procedury biurokratyczne – „cele i zadania”, „efekty”, „deklaracja misji” – rozmnożyły się, nawet jeśli dominuje neoliberalna retoryka o końcu odgórnej, scentralizowanej kontroli. Może się wydawać, że biurokracja to niejako powrót tego, co wyparte, ironicznie odradzającego się w sercu systemu, który zapewniał, że zniszczy biurokrację. Odrodzenie się biurokracji w neoliberalizmie to jednak coś więcej niż jakiś atawizm czy anomalia.

Jak już wskazywałem, nie ma sprzeczności między „byciem *smart*” a przyrostem administracji i regulacji; w przypadku pracy w społeczeństwach kontroli to dwie strony medalu. Richard Sennett twierdził, że spłaszczenie piramidy hierarchii faktycznie zaowocowało nasileniem inwigilacji pracowników. „Jednym z argumentów na rzecz wprowadzenia nowego porządku w pracy zakłada, że władza winna ulec decentralizacji, aby dać ludziom stojącym na niższych szczeblach organizacji większą kontrolę nad swoimi działaniami”, pisze Sennett. „Argument ten z pewnością okaże się chybiony, jeśli przyjrzymy się technikom wykorzystywanym przy przekształcaniu starych biurokratycznych molochów. Dzięki nowemu systemowi informacyjnemu menedżerowie najwyższego szczebla uzyskują wszechstronny i szczegółowy obraz organizacji; pojedynczy pracownicy nie mogą niczego ukryć”. Ale nie chodzi tylko o to, że technologie informacyjne dały menedżerom większy dostęp do danych; zwielokrotnieniu uległy same dane. Wiele z tych „informacji” dostarczają sami pracownicy. Massimo de Angelis i David Harvie opisują niektóre z wymogów biurokratycznych, jakim sprostać musi wykładowca układając moduł nauczania na studiach pierwszego stopnia na uniwersytetach w Wielkiej Brytanii. Jak piszą De Angelis i Harvie:

Osoba odpowiedzialna za moduł (ML [module leader], tj. wykładowca) musi wypełnić różnego rodzaju robotę papierkową, przede wszystkim zredagować „kartę przedmiotu”, gdzie obok wielu innych informacji podane są „cele i założenia” modułu, „spodziewane efekty kształcenia”, „sposób i metody ewaluacji”; oraz dokument „recenzji modułu” (na końcu), w którym ML informuje jak sam ocenia jego mocne i słabe strony, sugeruje, jakich dokonać zmian w następnym troku, podsumowuje opinie studentów oraz podaje średnią ocen i ich rozrzut.

 To jednak zaledwie wierzchołek góry lodowej. Dla całego programu studiów jako takich nauczyciel akademicki musi przygotować „specyfikację programową”, jak również stworzyć „roczny raport z programu”, który rejestruje wyniki studentów zgodnie ze „wskaźnikami postępów”, „ilością rezygnacji”, ich poziomem oraz rozrzutem ocen. Wszystkie oceny studentów dają ocenę końcową zgodnie z „matrycą”. Ten autonadzór dopełnia diagnoza przeprowadzona przez eksperta zewnętrznego. Oceny zadań studentów są monitorowane przez „zewnętrznych egzaminatorów”, którzy mają za zadanie utrzymać spójne standardy w całym sektorze uniwersyteckim. Wykładowcy muszą być obserwowani przez pracowników o tych samych kwalifikacjach, podczas gdy wydziały są poddawane okresowo trzy-czterodniowym inspekcjom QAA (*Quality Assurance Agency for Higher Education*). Jeśli są „aktywni naukowo”, muszą dostarczyć swoje „cztery najlepsze publikacje” co 4 albo 5 lat żeby zostać ocenionym przez panel w ramach *Research Assessment Exercise* (zastąpionym w 2008 r. przez równie kontrowersyjny *Research Excellence Framework*). De Angelis i Harvie dobrze wiedzą, że to jedynie bardzo szkicowy raport na temat niektórych zadań biurokratycznych, którym muszą podołać nauczyciele akademiccy, i z których wszystkie niosą dla instytucji określone konsekwencje natury finansowej. Tego typu bateria biurokratycznych procedur żadną miarą nie ogranicza się ani do uniwersytetów, ani do edukacji; pozostałe służby publiczne, takie jak NHS czy policja, zmagają się z podobnym biurokratycznym zrakowaceniem.

Jest to częściowo konsekwencja wewnętrznego oporu pewnych procesów i usług przed urynkowieniem (przykładowo rzekome urynkowienie edukacji opiera się na sprzecznej i nierozwiniętej analogii: czy studenci to konsumenci usług czy ich produkt?) Wyidealizowany rynek miał za zadanie zapewniać wymianę „bezfrykcyjną”, w ramach którego pragnienia konsumentów byłyby zaspokajane bezpośrednio, bez potrzeby interwencji czy pośredniczenia agencji regulujących. Jednak dążenie do ocenienia wydajności pracowników oraz ilościowego pomiaru tych form pracy, które, ze swej natury, nie dają się skwantyfikować, nieuchronnie wymaga dodatkowych pięter zarządzania i biurokracji. To, z czym mamy tutaj do czynienia to nie bezpośrednie porównanie wydajności pracowników czy ich dorobku, lecz zestawienie audytowanej reprezentacji tejże wydajności i dorobku. Nieuchronnie dochodzi tu do spięcia, a praca ukierunkowana zostaje raczej na wytwarzanie i manipulowanie reprezentacją pracy, nie na realizację oficjalnych zadań. W rzeczy samej, antropologiczne studium dotyczące samorządu w Wielkiej Brytanii dowodzi, że „więcej wysiłków nakierowanych jest na upewnienie się, że usługi lokalnych władz są właściwie zaprezentowane, niż na faktyczną poprawę ich jakości”. Odwrócenie priorytetów jest jedną z charakterystycznych cech systemu, który można bez nadmiernej przesady scharakteryzować jako „stalinizm rynkowy”. To, w czym kapitalizm naśladuje stalinizm, to przedkładanie symboli osiągnięć nad same osiągnięcia. Jak wyjaśnił Marshall Berman, opisując stalinowski projekt Kanału Białomorskiego z lat 1931-1933:

Stalin wydawał się być tak pochłonięty ideą stworzenia widocznego symbolu rozwoju, że prąc do szybkiego zakończenia robót, opóźnił rozwój rzeczywisty. Robotnikom i inżynierom brakowało czasu, pieniędzy i sprzętu niezbędnych do budowy kanału, który byłby dostatecznie głęboki i bezpieczny, by mogły nim przepływać XX-wieczne statki towarowe; w efekcie kanał nigdy nie odegrał poważnej roli w sowieckim handlu i przemyśle. Można odnieść wrażenie, że nadawał się tylko dla turystycznych parowców, które w latach 30. zapełniali sowieccy i zagraniczni pisarze, usłużnie opiewający wspaniałości tej budowli. Kanał okazał się sukcesem propagandowym, ale gdyby w jego budowę zaangażowano połowę wysiłku, który poświęcono kampanii propagandowej, prace pochłonęłyby znacznie mniej ofiar, rzeczywisty rozwój byłby znacznie większy, a całe przedsięwzięcie przypominałoby raczej autentyczną tragedię, a nie brutalną farsę, w której realni ludzie giną w pseudowydarzeniach.

Tkwiąc w kleszczach dziwacznego przymusu powtarzania rzekomo antystalinowski neoliberalny rząd New Labour przejawiał taką sama skłonność do wdrażania inicjatyw, których rzeczywiste efekty liczą się tylko o tyle, o ile są rejestrowane na poziomie (PRowych) zewnętrznych pozorów. Osławione „targety”, którymi tak entuzjastycznie szafował rząd New Labour, są tu wyjątkową celną ilustracją.

To zjawisko powtarza się z żelazną konsekwencją wszędzie tam, gdzie procedury te zostają wdrożone: „targety” szybko przestają być metodą mierzenia wyników i stają się celem samym w sobie. Lęk przez spadkiem poziomu na egzaminach szkolnych jest teraz elementem składowym okresu wakacyjnego w Wielkiej Brytanii. Jednak o ile studenci mają mniejsze umiejętności i są gorzej wyedukowani niż ich poprzednicy, to nie dlatego, że spadła jakość egzaminów *per se*, lecz dlatego, że cały proces nauczania nastawiony jest teraz wyłącznie na [dobre] zdanie egzaminów. Wąsko sprofilowany „dryl egzaminacyjny” zastąpił bardziej wyczerpujące omówienie przedmiotu. Podobnie, szpitale zajmują się rutynowymi procedurami zamiast naprawdę poważnymi i pilnymi operacjami, ponieważ pomaga to im skuteczniej osiągnąć cele, na punkcie których mają obsesję (ilość operacji, wskaźniki ich powodzenia czy redukcja czasu oczekiwania).

Błędem byłoby postrzeganie stalinizmu rynkowego jako jakiegoś odstępstwa od „prawdziwego ducha” kapitalizmu. Przeciwnie, właściwiej byłoby powiedzieć, że zasadniczy wymiar stalinizmu był blokowany przez powiązanie go z socjalistycznym projektem społecznym i mógł się w pełni ujawnić dopiero w kulturze późnego kapitalizmu, w którym obrazy stały się siłą autonomiczną. Sposób, w jaki wartość wytwarzana jest na giełdzie papierów wartościowych nie zależy oczywiście od tego co dana firma „naprawdę robi”, a bardziej od tego, jak jest postrzegana i wiary w to, jakie będą jej (przyszłe) wyniki. Co oznacza, że w kapitalizmie wszystko, co stałe, rozpływa się w PRze, a późny kapitalizm w takim samym stopniu definiuje jego bezustanna dążność do wytwarzania treści PR-wych, jak tendencja do narzucania mechanizmów rynkowych.

[Aby to wszystko zrozumieć głębiej] Kluczowe będzie szczegółowe omówienie pojęcia „wielkiego Innego” Lacana w wydaniu Žižka. Wielki Inny to zbiorowa fikcja, struktura symboliczna, zakładana z góry przez każde pole społeczne. Wielkiego Innego jako takiego nie można spotkać; zamiast mamy do czynienia jedynie z jego dublerami. Jego przedstawiciele w żadnym razie nie muszą być przywódcami. W powyższym przykładzie dotyczącym Kanału Białomorskiego to nie tyle Stalin reprezentował wielkiego Innego, co sowieccy i zachodni pisarze, których musiano przekonać do świetności projektu. Ważnym wymiarem wielkiego Innego jest to, że nie wie on wszystkiego. To konstytutywna ignorancja wielkiego Innego pozwala funkcjonować stosunkom społecznym. Istotnie, wielkiego Innego można zdefiniować jako konsumenta PRu i propagandy, jako wirtualną figurę, od której wymaga się, żeby wierzyła, nawet jeśli jednostka wierzyć już nie potrafi. […] Oczywiście istnieje bliski związek między biurokracją – dyskursem biurokracji – oraz wielkim Innym. […] Frustracja płynąca z obcowania z biurokratami często bierze się z tego, że oni sami nie mogą podejmować żadnych decyzji; raczej pozwala się im tylko odnosić do tych decyzji, które zostały podjęte (przez wielkiego Innego). Wielkość Kafki jako pisarza zajmującego się biurokracją polega na tym, że zrozumiał, iż taka struktura wyparcia się jest od biurokracji nieodłączna. Poszukiwanie ostatecznego organu władzy, który ostatecznie ustaliłby oficjalny status K. może nigdy się skończyć, ponieważ nie można spotkać się z wielkim Innym jako takim: istnieją tylko urzędnicy, mniej lub bardziej wrogo nastawieni, zaangażowani w interpretowanie tego, jakie intencje ma wielki Inny. I te próby interpretacji, to zawieszanie odpowiedzialności, to wszystko, czym jest wielki Inny.

Jeśli Kafka jest niezrównany jako komentator totalitaryzmu to właśnie dlatego, że odkrył taki jego wymiar, którego nie da się zrozumieć bazując na modelu władzy despotycznej. […] To, co się dzieje w kapitalizmie, gdzie z zasady nie ma możliwości odwołania się do wyższych organów władzy czy do ostatecznej instancji, która byłaby w stanie zaproponować definitywnie ostateczną wersję [interpretacji danego przepisu], to przytłaczająca intensyfikacja tej dwuznaczności. Zwróćmy się jeszcze raz w stronę szkolnictwa wyższego, żeby znaleźć przykład tego syndromu. Podczas spotkania pomiędzy przedstawicielami Związku Zawodowego, dyrektorami kolegiów i członkami parlamentu, Rada Nauki i Umiejętności (LSC), organizacja quasi-rządowa znajdująca się w centrum labiryntu składającego się na wyższą edukację, stała się celem kuriozalnego ataku. Ani nauczyciele, ani dyrektor, ani członkowie parlamentu nie byli w stanie ustalić w jaki sposób powstały poszczególne dyrektywy, gdyż nie zostały wpisane w politykę rządową. Odpowiedź brzmiała, że LSC „zinterpretowała” instrukcje wydane przez *Department for Education and Skills* (Ministerstwo Szkolnictwa i Umiejętności). Interpretacje te zyskały następnie dziwną, właściwą biurokracji autonomię. Z jednej strony biurokratyczne procedury zdają się być całkowicie luźne, niezależne od jakiejkolwiek zewnętrznej władzy; ale ich autonomiczność oznacza, że stają się nieubłagane, bardzo opornie poddają się poprawkom czy zmianom.

Proliferacja kultury audytu w postfordyzmie dowodzi, że pogłoski o śmierci wielkiego Innego były mocno przesadzone. Audyt prawdopodobnie najwłaściwiej byłoby ujmować jako stopienie się w jedno PRu i biurokracji, ponieważ dane biurokratyczne zazwyczaj mają pełnić rolę promocyjną: np. w przypadku kształcenia wyniki egzaminów bądź wskaźniki prowadzonych badań podnoszą (bądź obniżają) prestiż poszczególnej instytucji. Frustrujące dla wykładowcy jest to, że wydaje się, iż jego praca jest coraz bardziej nakierowana na zaimponowanie wielkiemu Innemu, który zestawia i konsumuje te „dane”. Słowo „dane” piszę tu w cudzysłowie, ponieważ większość z tzw. informacji nie ma żadnego znaczenia czy zastosowania poza parametrami audytu: jak ujmuje to Eeva Berglund, „informacja kreowana przez audyt niesie konsekwencje nawet jeśli jest tak bardzo pozbawiona konkretów i tak abstrakcyjna, że może wprowadzać w błąd bądź być całkowicie pozbawiona znaczenia – tj. pozbawiona znaczenia poza kryterium estetycznym samego audytu”.

Nowa biurokracja nie przyjmuje formy określonej i ściśle wyznaczonej funkcji wykonywanej przez poszczególnego pracownika, lecz dokonuje inwazji na wszystkie obszary pracy, w efekcie – tak jak wieszczył Kafka – pracownicy stają się swoimi własnymi audytorami, zmuszeni są poddawać ewaluacji własne osiągnięcia. Weźmy np. „nowy system” wykorzystywany przez OFSTED (*Office for Standards in Education*) do inspekcji szkół wyższych. W starym systemie college miałby jedną „ciężką” inspekcję raz na mniej więcej 4 lata, to jest taką, która obejmowałaby obserwację zajęć oraz obecność dużej ilości inspektorów na samej uczelni. W nowym, „ulepszonym” systemie, jeśli college udowodni, że jego wewnętrzne systemy oceny są skuteczne, może przejść jedynie „lekką inspekcję”. Jednak wada takiej „lekkiej” inspekcji jest oczywista – nadzorowanie i monitorowanie jest przerzucane z OFSTED na college, a w ostatecznym rozrachunku na samych wykładowców, stając się stałym elementem struktury uczelni (oraz psychiki poszczególnych wykładowców). Różnica pomiędzy starym i ciężkim a nowym i lekkim systemem inspekcji dokładnie odpowiada wcześniej zarysowanemu Kafkowskiemu odróżnieniu na pozorne uniewinnienie i nieskończone przewleczenie. Jeśli chodzi o pozorne uniewinnienie, apeluje się do sądu niższej instancji dopóki nie udzieli Ci niewiążącego zawieszenia wyroku. Jest się wtedy wolnym od sądu do momentu, w którym sprawa zostaje otworzona na nowo. Nieskończone przewleczenie z kolei pozostawia Twoją sprawę na najniższym poziomie apelacji, ale za cenę lęku, który nigdy się nie kończy (zmiany w inspekcjach OFSTED są lustrzanym odbiciem zmiany z *Research Assessment Exercise na Research Excellence Framework* w szkolnictwie wyższym; inspekcje okresowe zostaną zastąpione przez permanentny i wszechobecny pomiar, który nie może nie generować tego samego ciągłego niepokoju).

W każdym razie nie jest tak, jakoby „lekka” inspekcja była jakkolwiek bardziej preferowana przez personel niż „ciężka”. Inspektorzy spędzają w kolegium dokładnie tyle samo czasu co w starym systemie. To, że jest ich mniej, nie pomaga zmniejszyć poziomu stresu przed kontrolą, która ma zdecydowanie więcej wspólnego z biurokratycznym „mydleniem oczu”, uprawianym w oczekiwaniu na ewentualną obserwację, niż ma z faktyczną obserwacją. To oznacza, że inspekcja odpowiada Foucaultiańskiej analizie wirtualnej natury nadzoru z *Nadzorować i karać*. Foucault zasłynął stwierdzeniem, że w przypadku władzy opartej na technice nadzoru nie ma potrzeby, żeby miejsce władze było w ogóle zajęte. Efektem niewiedzy dotyczącej tego czy jest się obserwowanym czy też nie, jest introjekcja aparatu nadzoru. Zachowujesz się cały czas jakbyś był zawsze obserwowany. Jednak w przypadku inspekcji szkolnej i uniwersyteckiej to, na podstawie czego będziesz oceniany, to w pierwszym rzędzie nie twoje umiejętności jako wykładowcy akademickiego, lecz biurokratyczna gorliwość. Występują jeszcze inne groteskowe efekty. Ponieważ OFSTED czuwa obecnie nad uczelnianymi systemami samooceny, *implicite* pojawia się zachęta do tego, żeby uczelnia oceniała siebie i własne nauczanie gorzej niż na to faktycznie zasługuje. […].

W postfordowskiej sali lekcyjnej refleksywna impotencja studentów znajduje odzwierciedlenie w refleksywnej impotencji nauczycieli. De Angelis i Harvie donoszą, że:

praktyki oraz wymagania standaryzacji i nadzoru oczywiście stanowią duże obciążenie pracy nauczycieli akademickich i niewielu się z tego powodu cieszy. Była na to reakcja. Menedżerowie często sugerowali, że nie ma żadnej alternatywy (TINA) i prawdopodobnie nakłaniali do tego, że powinniśmy pracować „nie ciężej, lecz inteligentniej [*smarter*]”. Ten kuszący slogan, wprowadzony po to, by stłumić opór kadry akademickiej wobec kolejnych zmian, które, zgodnie z ich (i naszymi) doświadczeniami wywierają druzgoczący efekt na warunkach pracy, próbuje połączyć potrzebę „zmiany” (restrukturyzacji i innowacji) żeby sprostać presji budżetowej i zwiększyć „konkurencyjność”, z oporem kadry, który wynika nie tylko z pogorszenia się warunków pracy, ale również z edukacyjnej i akademickiej „bezsensowności” tych „zmian”.

Powołanie się na ideę, że „nie ma alternatywy” oraz rekomendacja „pracuj mądrzej, nie ciężej”, pokazuje, że realizm kapitalistyczny nadaje ton dyskusjom na temat pracy w erze postfordyzmu. Zakończenie reżimu inspekcji, jak skomentował sardonicznie jeden z wykładowców, wydaje się bardziej nieprawdopodobne, niż kiedyś zakończenie niewolnictwa. Taki fatalizm może zostać podważony tylko wtedy, gdy wyłoni się nowy (zbiorowy) podmiot polityczny.